

Diabeł Łańcucki: Cień Stanisława Stadnickiego na Ziemi Przemyskiej



Oprac.: P. Worosz

Gdy zmrok zapada nad Pogórzem Przemyskim, a wiatr szumi w starych dębach, wciąż można usłyszeć szept o „Diabie Łańcuckim”. To nie bajka o fantastycznej istocie, lecz mroczna opowieść o człowieku z krwi i kości, którego czyny przekroczyły granice ludzkiego okrucieństwa, czyniąc go niemalże demonem - Stanisław Stadnicki, pan Łańcuta. Jego imię budziło strach w całym regionie, od samego Łańcuta, aż po głębokie rubieże Ziemi Przemyskiej, którą lubował się pustoszyć. Stadnicki był panem wojny, nieustającym wichrem zniszczenia. Jego bezwzględność była legendarna - bez skrupułów napadał na sąsiadów, palił dwory, rabował wsie, porywał ludzi, a jego bandy grasowały po traktach niczym stado wygłodniałych wilków.



Dubiecko, położone w zasięgu jego krwawych rajdów, często stawało się świadkiem jego brutalności. Mieszkańcy opowiadali, jak „Diabeł Łancucki” ze swoją zbrojną zgrają pojawiał się znikąd, siejąc spustoszenie i śmierć, by potem rozplynać się w mroku nocy, pozostawiając za sobą jedynie zgliszcza i szloch. Jego niezwykła szybkość, zaskakujące uniki przed wymiarem sprawiedliwości i niemal nadludzka siła w boju sprawiły, że lud zaczął szeptać o pakcie z siłami ciemności. Wierzono, że to sam diabeł dał mu tę moc, w zamian za jego duszę i nieustanne sianie zła. Legenda głosi, że nawet po jego śmierci, gdy zginął w krwawym starciu, jego duch nie zaznał spokoju. W noc, gdy księżyc chowa się za chmurami, w miejscach dawnych rabunków i potyczek, niektórzy widzieli cienistą postać na czarnym koniu, gnającą przez pola i lasy. To „Diabeł Łancucki” wciąż nawiedza ziemie, które tak chętnie niszczył, jego obecność jest zimnym dreszczem na karku, przypomnieniem o mroku, który może zstąpić na świat, gdy ludzkie serce podda się czystej nienawiści. Niech jego historia będzie przestrogą, że czasem największe demony rodzą się w ludzkiej duszy.